

Wiersze

«Poems»

by Wasył Stus

Source:

Bond (Więź), issue: 01 (555) / 2005, pages: 16-20, on www.ceeol.com.

Szopka

Na dole widzimy dwie ludzkie postaci,
na górze — tylko ich cienie.
Wytrawny mechanik, proszę Państwa, zadbał o oświetlenie,
żeby nie dało się zgadnąć, gdzie tu ludzie, a gdzie tylko cienie.
Na dole ktoś zaklina: miłość i szczęście nas czeka jedynie,
na górze ktoś przeklina: jakbym miał nóż, zarznąłbym cię jak świnię.
Potem ktoś trzeci staje na scenie
i zaczyna agitować do raju, a raj coraz wyżej i wyżej.
Snop światła bije w puste niebieskie sklepienie,
słysząc anielskie pienie:
ci na dole będą skwierczeć w oleju, tamci z góry — gotować się w smole.
Wreszcie zaczynają się tańce,
na proscenium wyskakuje czart i dalej wyprawiać łamańce,
a to chodzi na rękach, a to na nogach chodzi.
I do tego, proszę Państwa, dochodzi,
że rękami wrasta w ziemię, a nogami w powietrze się wznosi.
I wtedy już wiadomo,
że to pusty kadłub kręci się na osi.

* * *

W szkliwie czarnej kałuży,
siedzi, zakrzepła w niemocie,
jak srebrny pająk,
latarnia wieczoru (usta w usta —
piją z nich martwy mróz),
nadmierna, fosforyzująca
wczorajszym wspomnieniem, jej
migotliwa dusza szamoce się
jak epileptyk. Ponad nią
mignęły dwa ludzkie cienie,

obrębione złością, czarne,
mieniające się jak aksamit.
Kałuża za nimi w pogoń,
aż kalecząc się
o cięty obręb niemówstwa,
wypruwając z siebie wzdęte żyły,
rozprysła się w drobny mak.

* * *

Sprasowanych zmarzlina dusz
wieczna,
skrzy się nagle zakrzepłych łez
bryła.
Spod warstw zlodowacenia — serc
stukot,
słońca bryzgi na bagnach, wśród kęp
wątle.
Droga — sieczna — tutaj ma kres
lotu,
spada, spada — rozbiła się
z hukiem
o kamienie, o ten tu głaz
czarny.
Głową w dół z sercem twardym o-
twartym
pustka milczy zaś, milczy jak to
pustkowie.
Tylko dziki mógł się w nim ren
zbląkać,
mróz za wielki, za bardzo tu śmierć
zwykła,
nie masz słońca ty ani nikt
inny.
Sprasowanych zmarzlina dusz —
wieczna,
bryły lodu na bryłach, szczyt —

zorza,
szara mgła niby dym, niby jęk
długi,
księżyc, i księżyc zły jak pies —
dziki.
Tylko modrzewi huk, huk mo-
drzewi,
tylko w modrzewiach cienki świst —
poświst
o piastunie wśród sopek, co się zbił
z drogi —
bez niedźwiedzicy w śniegach jak nic
zginie.
Świeci, błyska się ogień-dym,
niby
grynszpanowa hucząca jak miedź
zieleń,
i przytłacza nawałem zasp
ciężar
śniegu? Nocy? Bezkresu? Ci-
szy? Kto wie?

* * *

Czarność przede mną już od dawien dawna
wyzbyła się przeraźliwego czaru,
straciła swą wiedźmowską moc. Zaiste
rzec dzisiaj mogę, że zwyciężam śmierć.
Znowu przed sobą widzę ogrom świata,
Jak w sztolnię piekieł schodzę w jego mrok,
w ogień żarzących się kamiennych złóż.
Całymi pokładami się wypala
ten świat. Przede mną czarność, pełna gwiazd.
Ile to zapomnianych słońc wokoło
prastarej zorzy, ile tego: dobrze
trzeba się starać, żeby tu nie spłonąć.
W kraju umarłych mamy taki ład,

z którego bije woda żywa. Po nią
zlatują się z Ukrainy kruki-wrony,
do domu żaden stąd nie wraca ptak.
Czarność przede mną — to jest właśnie moja
droga od śmierci do żywota. Siła
niezłomna mnie prowadzi. Stań tu. Nie
wysilaj się. Bądź świadkiem. Dociekliwym
świadkiem. Chłoń wszystko, zawrzyj w sobie wszystko,
w żelazną obręcz zakuj całą swoją
bezbrzeżną rozpacz. Czarność, której starczy
na całą klatkę żeber.

* * *

Jak te umarłe drzewa, jak mamuty,
które, zbudzone z odwiecznego snu,
na obcy sobie powróciły świat
i rozminęły się ze swoją śmiercią —
tak też topornie ociosane wyro.
A jednak wróży postój. Nawracając
na wiarę wymarzone drogi. Pionu
zachciało mu się, legowisku. Barłóg —
ostatni nasz przystanek. Jak mamuty
o nowo narodzonej roi śmierci
w nadziei, że im dalsze będzie życie,
tym bliższe wybawienie. Kwadratura
skrywanych nieszczęść, romby samotności
i prostokąty zastarzałych klęsk,
przenajpokorniejszego uniżenia
sieczne i ból pionowy aż do gwiazd.
Gdzież dalej biec? Gdzie tu ukrycia szukać,
ucieczki przed onemiającym bólem,
przed czyhającym tu Wszechprzerażeniem
i przed nikczemnym wybawieniem w Pustce?
Niby mamuty martwe, pnie spalone,
wykarczowane ociosane karpy,
spod warstwy śmierci wspominając życie

tak wspina się na wyrzeźbionych z drewna
koturnach zapomnienia — most, rozpięty
ponad rozpaczą. A ta brzegów nie zna.
Piętrowy ból odrzuca z siebie zaspę
marliwych rojeń sennych i prostuje
ścieżkę do Boga. Jak żywica wieczność
z osamotnionej sosny kapie pnia.
Światło-zwierciadło obtłuczonych niebios,
co okruchami swych polarnych zórz
szklące się oko ranisz, zgiń-przepadnij!
Jest siostrą śmierci — ciemność.

przełożył Adam Pomorski

Wasył Stus (1938–1985) — poeta, tłumacz, dysydent. Więzień łagrów (1972–1979; 1980–1985). Od 1979 — członek Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Zmarł w karczerze w obozie w Kuczino. Był honorowym członkiem PEN Clubu. Autor 4 tomików poetyckich rozpowszechnianych w samwydawie i na emigracji: „Kruhowert”, „Zymowi derewa”, „Weselyj cwyntar”, „Palimpsest”. Pierwszy wybór wierszy („Doroħa bolu”) na Ukrainie ukazał się w 1990 r. Pozostałe ocalałe wiersze czytelnicy poznali dopiero w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych („Two-ry”, 1994–1999). W Polsce ukazał się wybór jego wierszy w 1996. Tłumaczenia Adama Pomorskiego są po raz pierwszy prezentowane polskiemu czytelnikowi.